

# 19

Monika nie zamierzała robić remontu. Lekko odrapane ściany, ze śladami po obrazach i zapachem zastalego kurzu przypominały jej rodzinny dom – piasek wpadający przez drzwi i pył żniw, wnoszony przez Ojca do domu. Schodził z kombajnu z zapachem suszy na ubraniu, tak to zapamiętała. Woń zeschniętych badyli zamienianych w siewkę i suchych ziaren, które trafiały do skupu. Stamtąd odbywały długą drogę, by wrócić do nich – jako chleb, mąka na ciasto i racuchy, które Matka jesienią smażyła z jabłkami.

Patrzenie na ogród, choć zaniedbany, sprawiało dziewczynie przyjemność. Rabaty zarośnięte chwastami były jednym zielonym polem, trawnik zdobiły mech i mniszki lekarskie.

*Chcę zobaczyć pod oknem żółte pole mniszków – pomyślała. – A potem powyrrywam te słońca.* Obiecała sobie, że wiosną zadba o ogród. Kaze przyciąć leciwe świerki – niektóre suche gałęzie potrzebowały siekiery i silnej męskiej

ręki. Zostanie od nowa uformowany żywopłot, który stracił kształt, a cisy ponownie staną się wielkimi kulami. Należy też koniecznie odchwalić trawnik. Żadnych kwiatków, tylko stare rośliny z patyną zgrubień na gałęziach i prześwitem opadłych liści.

*Tu będzie mój dom.*

Robert przygotowywał pozew rozwodowy. Obiecał jednak, że będzie płacił za mieszkanie żony.

*Już Teresa o to zadba.* – Monika była pewna. – *Nie z sympatii przecież. Kupi sobie gwarancję, że nie powiem nic, co mogłoby przynieść wstyd „rodzinie”. A wstydu boi się najbardziej.*

Monika nie rozmawiała z rodzicami o rozwodzie, to Teresa powiadomiła jej Matkę. Przyjechała z małą kartonową walizką, stanęła pod furtką – nikogo nie zastała. Czekala parę godzin, aż Monika wróciła z pracy, zdziwiona obecnością szarej postaci przed wejściem do jej mieszkania. Przywitały się chłodno. Córka nie chciała rozmawiać, bała się konieczności tłumaczeń. Dopiero po herbacie i kanapkach zorientowała się, że Matka wcale nie przyjechała jej słuchać.

– Córeczko, patrzę na twoje kolorowe życie, i nie mogę znieść myśli, że moje jest takie... sprane – opuściła wzrok na ręce. Monika zauważyła, że dłonie Matki nie były popękane, tak jak zawsze. Paznokcie miała równo spiłowane i błyszczące, pomalowane – to była zmiana. Wielkimi, drukowanymi literami. ZMIANA.

– W sanatorium poznałam pewnego mężczyznę – kontynuowała Matka – przeprowadzam się do niego. Odeszłam od Ojca.

– Jak to, zostawiłaś Ojca?! To niemożliwe! A przykazania? Ślub? Bóg? – Monika wybuchła niedobrym, szyderczym śmiechem. Uraziła tym Matkę.

– Nie kpij – odparła starsza kobieta. – Nie jest mi łatwo. Nie chcę tak dożyć swoich dni. Ty też...

– Chcesz skończyć jak ja – przerwała jej córka – sama w wynajętym mieszkaniu, z pozwem rozwodowym w drodze?

– Ty jeszcze nie skończyłaś – odparła Matka, wstając. Podeszła do okna, w szybie odbijała się jej postać. Monika dopiero teraz zwróciła uwagę na buty rodzicielki, były nowe, ładniejsze nawet od tych, w jakich chodziła do kościoła.

– To dla ciebie – powiedziała Matka. Wręczyła Monice niewielką paczkę, zapakowaną w pognieciony papier.

– Co to? – warknęła bardziej niż zapytała Monika.

– Zobacz. – Matka wzruszyła ramionami.

– Zobaczę – odpowiedziała Monika, odkładając paczkę na kuchenny stół.

Wszystko zostało powiedziane. Nadzieja Matki obnażyła okrucieństwo Moniki, jednak córka nie podkopała jej wiary. Wieczorem, z lęku przed ciszą, włączyła telewizor – usiadły blisko, znacznie bliżej niż kiedykolwiek. Do Moniki wrócił zapach włosów Matki, wyblakłych na słońcu i potarganych wiatrem, i wina fermentującego w kącie kuchni.

Matka przespała noc u Moniki, następnego dnia tak samo znikła, jak się pojawiła. Pojechała na Ochotę, trzy dzielnice dalej, ale to była daleka podróż. W poszukiwaniu szczęścia, którego nie można znaleźć, jeśli nie nosi się go w sobie. Matka zamieszkała z kimś, kto miał być mężczyzną jej życia. I prawie nim został.

*Czy jej wizyta była snem?* – zastanawiała się Monika już następnego dnia. Dopiero wtedy sięgnęła po paczkę od Matki. Odpakowała papier, który nosił ślady wcześniejszego używania.

*Zawsze tak u nas było – pomyślała. – Zawsze Matka używała ozdobnego papieru po kilka razy.*

Oglądała kwadratowe niewielkie pudełko, z początku z niezrozumieniem. Dopiero po kilku minutach przypomniała sobie, że bawiła się nim jako małe dziecko, i był to wtedy przedmiot magiczny, bo zakazany. Pozytywka. Wygrywała nieudolnie *Kołysankę* Brahmsa. Kiedyś Monika zrzuciła ją na podłogę, przestraszona nagłym szelestem za oknem. Od tego czasu pozytywka była lekko rozstrojona, najwyższy dźwięk był odrobinę za nisko, ale Monice to nie przeszkadzało. Potem zapomniała o pozytywce.

Przyszła jej na myśl Ojciec, sięgnęła po telefon, ale stchórzyła.

*O co miałabym zapytać? Czy wszystko w porządku? A może – co się stało?*

Dobrze, że nie zadzwoniła. I tak by go nie zastała. Poszedł w cug. A gdy po tygodniu wytrzeźwiał i wrócił do domu, zastał pustkę. Pajęczyny już wisiały w kątach. Zapłakał i znowu poszedł pić. W końcu przygarnęła go szwagierka, dała ciepło – ale zabrała wódkę. Wyprowadziła chłopca na ludzi, tylko po co? Co miał zrobić? Pracować się nie chciało, o dom nikt nie dbał, gospodarstwo podupadało. Matka chciała sprzedać ziemię, pieniądze podzielić.

– Potrzebuję ich na nowe życie – mówiła, a on nie poznawał jej głosu. Obce słowa raniły. Ojcowiznę oddać?

Nie wiadomo komu? Ojciec myślał o tym i znowu chciał pić. Szczęśliwie na krechę już nikt nie chciał mu dać.

Monika uznała, że nikogo w pracy nie powinno obchodzić, co się dzieje w jej życiu prywatnym. Właściwie nigdy nie spędzała czasu z nikim poza współpracownikami, i to tylko w biurze, a z firmy wychodziła ze sprzątaczkami. Łukasz coraz bardziej cenił tę ciemnowłosą dziewczynę o wydatnym nosie, która pracowała więcej, uczyła się szybciej i nie narzekała, tak jak inni. Monika wyróżniała się in plus. Szef już po czterech miesiącach postanowił powierzyć jej trudniejsze zadanie. Rozważał różne opcje, żadna nie była dość dobra. Bał się konfliktu w zespole – dziewczyna była najmłodsza stażem, wyróżnienie jej mogło zostać różnie odebrane. A i zadanie musiało być sprytne – ambitne, ale z niewielkim ryzykiem. Takim, żeby ewentualne fiasko nie dotknęło firmy, a wyłącznie Monikę.

Życie samo przyniosło rozwiązanie. Jeden z długoletnich klientów chciał wymówić umowę. Znalazł u konkurencji ofertę o trzydzieści procent tańszą, poczuł się oszukany. Strata klienta była niemal przesądzona, a byłaby dotkliwa, bo wspólne interesy miały korzenie w wielu działaniach. Łukasz zwoływał burze mózgów i obmyślał plany awaryjne. W ich wyniku przeprowadził jeden manewr rynkowy – obniżył ceny.

Monika dostała zadanie samobójcze – zatrzymaj klienta, a dostaniesz podwyżkę. Rozumiała, że czeka ją albo splendor, albo wymówienie. Dwa dni myślała. Studiowała historię transakcji, przeglądała strony internetowe, rozmawiała ze wszystkimi, którzy cokolwiek wiedzieli o kliencie. Trzeciego dnia przygotowała prezentację. Zebrała wszystkie wspólne

aktywności, podsumowała historię i zaprezentowała nową wizję. Nawet nie wspomniała o pieniądzach. Pokazała tylko, że współpracą można lepiej zarządzać, i to także w nowych obszarach – skupiła się na korzyściach. Zagwarantowała lepszą, osobistą opiekę nad całością interesów klienta. Dotychczas robił to Łukasz... najwyraźniej źle, ale nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno. Nie wspomniała o tym, że klienta uznano za straconego. Podnosiła rękawicę, w ogóle nie wspominając o jej upuszczeniu. Zupełnie tak, jakby w sklepie odzieżowym zachwalała klientowi garnitur, chociaż szukał koszuli. Ten klient kupił garnitur.

Monika wyszła po trzygodzinnej prezentacji z wielkimi plamami potu pod pachami. Ukryła je pod luźną marynarką. Łukasz, obawiając się porażki, wysłał ją do firmy klienta samą. Po powrocie pogratulował jej, a wieczorem poszli jednak na kolację, zakończoną długim sączeniem drinka, namiętym pocałunkiem i rozstaniem pod furtką Moniki. Oczy Łukasza błyszczały.

*Nie mogę bzykać się z własnym szefem* – pomyślała.

Łukasz miał minę zbitego spaniela i od tego wieczora dał się prowadzić Monice na smyczy. To jej propozycje były najlepsze, a pomysły najbardziej błyskotliwe. Zespół szeptał, szeleścił – jak trawy usztywnione pierwszymi przymrozkami. Łukasz działał bezmyślnie. Ceny zaczęły spadać, marża też. Firma miała dobre obroty, ale zarabiała mało. To było nielogiczne i wzbudziło zainteresowanie centrali. Przysyłali różnych mądrych, zadawali dużo pytań, nie dzieląc się wnioskami. Niebotycznie wzrosła liczba koniecznych do przygotowania raportów.

Pewnego dnia siedzieli w piątkę w sali konferencyjnej. To była duża sala, na dwadzieścia osób, ale zgromadzeni i tak zaczęli już odczuwać duchotę. Łukasz, Monika, Ryszard – najstarszy stażem, którego Monika wpędzała w poczucie zagrożenia, Andrzej – blondyn bez wyrazu, który mało mówił i robił, ale miał dobre kontakty z klientami, i Oktawia – dziewczyna o mysich włosach i fałszywym uśmiechu. Świeżo po studiach, właśnie dołączyła do zespołu w roli asystentki. Na razie milczała, zbierała wrażenia i wiedzę. Docelowo miała pomagać w przygotowywaniu prezentacji oraz materiałów promocyjnych i spinać wszystkie działania marketingowe. Spotkanie miało dotyczyć tylko największych klientów, stąd wąskie grono, które na sali konferencyjnej siedziało już siódmą godzinę. Za oknami zaczynało zmierzchać.

Monika i Ryszard kłócili się. Pomysł Łukasza z tańszą ofertą odbijał się firmie czkawką, rozeszły się już plotki o ich kłopotach. Dotychczasowi klienci obawiali się, że nie dają rady konkurencji. Nowi podejrzliwie odnosili się do niskich stawek – tak tanio, więc czy może być dobrze? Centrala cisnęła gromy.

– Trzeba się z tego pomysłu jak najszybciej wycofać – perorowała Monika, a Ryszard się zgadzał, ale nie chciał się do tego za nic przyznać. Łapał ją za słówka, pokazywał wyimaginowane niekonsekwencje, nawet wypominał jej błędy językowe. Monika wkurzyła się.

– Jak do tej pory, tylko ja mam pomysły. Może ktoś bardziej doświadczony powie coś konstruktywnego? – rzuciła, patrząc Ryszardowi prosto w oczy.

Mężczyzna milczał, błędząc wzrokiem po ścianach. Ciśsza stawała się dotkliwa. Kiedy już Łukasz chciał zabrać

głos, Ryszard dobitnie, akcentując każde słowo, powiedział:  
– Myślę, że musimy zrobić tak, jak powiedziałaś. Nikt nie wymyślił nic lepszego – zakończył spotkanie, odsuwając hałaśliwie krzesło i wychodząc w półmrok korytarza.

Monika i Andrzej zbierali notatki, zamykali komputery, Łukasz próbował ratować swój autorytet.

– W takim razie postanowione – powiedział. – Dużo czasu nam to zajęło, ale w końcu osiągnęliśmy konsensus. Jutro spotykamy się o dziewiątej, uzgodnimy szczegóły.

Oktawia wyszła ostatnia. Próbowwała rozgryźć relacje między tymi ludźmi. Zmierzali do tego samego celu, czemu ciągnęli linę w przeciwnie strony?

Monika nawet nie była zła, tylko zmęczona. Zastanawiała się, ile powiedzieć jutro. W najbliższym czasie spodziewali się kolejnej wizyty z centrali.

*Może powinnam zostawić najlepsze pomysły na tamto spotkanie?*

Po nocy bez snów tak zrobiła. Z samego rana przeprosiła kolegów. – Trochę źle się czuję – powiedziała. – Boli mnie gardło, więc będę mówić mało, i tylko wtedy, gdy się z czymś nie zgodzę. – Bez jej uwag i ripost spotkanie przebiegło szybko, zapisane w kilku punktach bez rozwinięcia. Zdania niosły ze sobą ideę bez wizji realizacji.

– W końcu wyszedł z niej człowiek – komentowali koledzy po południu.

– To ona też może być chora? – dziwili się inni. Oktawia przyglądała się.

Łukasz napisał długie memorandum, wewnętrzną instrukcję z opisem planowanych działań. Monika nie wychylała się na spotkaniach. Częściej siedziała za biurkiem,



niż stukwała obcasami po korytarzach. Długo pracowała – wyszukiwała klientów, żmudnie nawiązywała kontakty, wymyślała specjalne programy. Co miesiąc realizowała swój plan sprzedaży – wśród kolegów zaczęła uchodzić za wiedźmę, która czarami zmusza klientów do zakupów. Nawet Ryszard schodził jej z drogi. Dręczyło go podkopywanie jego niczym do tej pory niezagrożonej pozycji. Był dumny ze swoich osiągnięć. Tworzył firmę od podstaw, razem z właścicielem wymyślili ten biznes, dziś był tu pierwszy po Bogu. W latach dziewięćdziesiątych kręciło się samo. Byli pierwsi, szybcy, otwarci na negocjacje – i osiągnęli sukces za sukcesem. Przyszedł czas na Gazele Biznesu i inne nagrody, często odbierał je Ryszard. Był nie tylko prawą ręką właściciela, po jakimś czasie stał się jego głową. Właściciel mawiał, że firma go przerosła i czas oddać sprawę w ręce młodszych, bardziej prężnych. Ryszard wypinał pierś, pochwały oklewały go, zatkały oczy i uszy, aż dostrzegł, że ci młodszy i prężniejsi to międzynarodowa korporacja, której właściciel odsprzedał firmę. W szczerzej rozmowie Ryszard usłyszał, że to dzięki niemu firma osiągnęła tak dobrą cenę. Dostał premię, na jego warunki ogromną, dla właściciela ledwie zauważalną – i musiał odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Dla odróżnienia został Key Accountem. Wszyscy inni byli po prostu handlowcami. Potem Key Account Managerem. A potem przestało mu zależeć. Fuzja firm złamała zapał Ryszarda, który już nigdy nie cieszył się pracą i do końca życia myślał, że wtedy, w latach dziewięćdziesiątych, powinien był założyć własną firmę. Chociażby konkurencyjną. Dzisiaj też balowałby na Seszelach, jak właściciel. Myśl o tym rozlewała się po jego języku dziwnym smakiem. Nie umiał go

zmyć ani piwem, ani wódką, ani kawą, ani wodą. Smakował więc tę gorycz, a ona wlewała się w każdy por jego skóry, aż w końcu sam stał się goryczą, żywą jej czarą. Żył w roztrójeniu – trochę w Polsce, trochę na południowych wyspach, trochę w snach.

Monika, w oczekiwaniu na spotkanie z przedstawicielami holenderskiej centrali, przygotowywała swoje wystąpienie w tajemnicy przed wszystkimi i bez uzgodnienia z kimkolwiek – nie oczekiwano, że młody handlowiec, nawet obiecujący, będzie miał do powiedzenia więcej, niż jego przełożeni. A jednak... Łukasz po wczorajszej kolacji z kolegą ze studiów był lekko skacowany.

– Ostatnie lata to pasmo naszych sukcesów. Odnotowaliśmy znaczne przyrosty zarówno w przychodzie, jak i w dochodzie. Kilka minionych tygodni było dla nas trudne, niemniej udało się już odwrócić trend, ponownie nabieramy rozpędu i zwiększamy przychody. Pozwala to optymistycznie patrzeć w przyszłość. – Łukasz poparł wypowiedź kilkoma slajdami i usiadł, zadowolony.

Monika powiedziała coś zupełnie innego. W ciszy lekko uniosła rękę, nawiązując jednocześnie kontakt wzrokowy z jednym z Holendrów.

– Ja tylko kilka słów... pozwolę sobie uzupełnić wizję, jeśli pozwolicie – zatrzymała się, oczekując formalnego przyzwolenia. Przedstawiciel zwierzchników gestem zaprosił ją na środek sali.

Zacząła delikatnie, od trudnego rynku i podkreślenia sukcesów z ostatnich lat, aż Łukasz pomyślał:

– Jeśli już musiała uprawiać taki automarketing i koniecznie zwracać na siebie uwagę, powinna mi być o tym

powiedzieć. Przynajmniej uzgodnilibyśmy, co ma do powiedzenia. A tak tylko po mnie powtarza. Idiotka.

– Wprawdzie nieźle sobie radzimy ze sprzedażą – perorowała już po chwili Monika – jednak brak nam pewnej ogólnej, marketingowej wizji. Nie wiemy, co chcemy osiągnąć. Potrzebujemy tutaj, w Polsce, pomocy – co zamierza zarząd firmy? Jak powinniśmy podejść do nowych produktów? Czy możemy mieć propozycje własnych, nawet jeśli będą tylko lokalne?

Zadała dziesiątki pytań, wprawiała w oszołomienie Łukasza, przedstawicieli centrali i kolegów. Nie korzystała z notatek. Mówiła swobodnie, jakby ćwiczyła swoje przemówienie wiele razy przed lustrem. Bo ćwiczyła. Czasami zacinała się na jakimś trudniejszym słowie, ale potrafiła znaleźć zwroty zastępcze. Miała już na tyle bogate angielskie słownictwo, że poradziła sobie z każdym zdaniem, które zamierzała wypowiedzieć.

Skonsternowani koledzy gratulowali jej wystąpienia. Łukasz nie. Przedstawiciel centrali także nie, zapytał go tylko, kim jest ta młoda pyskata, a potem wyjechał. Tego wieczora dział handlowy poszedł wspólnie pić. – Będziemy mieli ich niedługo z głowy! Dzięki Monice! – Wznosili toast za toastem. Łukasz z każdym kieliszkiem wierzył w to coraz bardziej. Rozgrzane towarzystwo zbierało się w grupki, część tańczyła, reszta wykańczała kolejną butelkę i siebie. Monika nie piła, następnego dnia jako jedyna była w pracy punktualnie. Tylko ona była w stanie odebrać telefon z centrali i odpowiedzieć na kilka pytań.

Teresę zżerała ciekawość. Pewnego dnia zaczęła się przed furką Moniki, było jej szkoda, że tak wykreśliła z życia

wspólne zakupy i picie kawy na tarasie, i ją całą, chociaż wieśniarę. Zakupów było jej żal najbardziej. Czekwała długo. Dopiero późnym wieczorem dziewczyna podjechała pod bramę nowiutkim fordem focusem, wysiadła z niego cała pognieciona i zmęczona, ale w eleganckiej garsonce, której teściowa nie знаła.

*Z kim teraz chodzi na zakupy?* – rozmyślała. Ona nie miała już z kim.

Miesiąc po wyprowadzce Moniki Robert przyprowadził do domu nową dziewczynę. Teresa podejrzewała jej istnienie wcześniej, wygodniej było jednak nie pytać. Kolejna miłość syna miała metr siedemdziesiąt wzrostu i biust, który prze-ważał sylwetkę do przodu. Lubiła różowe kolory i falbaniaste bluzki. Wprawdzie uwielbiała chodzić z Teresą na zakupy, ale nie potrafiła jej doradzić, a chichot, który nieustannie z siebie wydobywała, przyprawiał kobietę o częste migreny. Czekala cierpliwie, aż blondi znudzi się Robertowi. Przestała, gdy okazało się, że jest w czwartym miesiącu ciąży.

Wtedy Teresa zaczęła naprawdę tęsknić za Moniką, nawet bardziej niż Matka czy Ojciec. Nie wiedziała, że nigdy nie znajdzie duszy równie jej bliskiej. Będzie tęsknić za Moniką już zawsze, ale przejdzie nad tym do porządku dziennego. Zajmie jej to mniej czasu, niż przyzwyczajenie się do nowego gatunku kawy.

Monika w firmie wyrastała na gwiazdę. Już nie dobrzego handlowca, a pracownika z managerskim potencjałem. Dostała nie tylko lepszy samochód, ale także, a może przede wszystkim – znaczącą podwyżkę. Nie wydawała tych pieniędzy. Od czasu do czasu uzupełniała garderobę, zawsze korzystając z metody Teresy – najpierw analiza potrzeb, potem

lista zakupów, na koniec ścisła realizacja założeń. Monikę interesowała tylko praca. Nie jeździła na urlopy, nie chodziła na zwolnienia. Przeziębienia i grypy przeczekiwała opatulona wełnianym ponczo przy swoim biurku, pracując nad kolejną ofertą, i jeszcze jedną, i jeszcze. Nie chodziła do kina ani do kawiarni, nie jadała w restauracjach. Wystarczała jej kawa w firmowej kantynie.

Była tak zajęta pracą, że zapomniała o pielęgnowaniu swojej nienawiści. Praca sprawiała jej radość i satysfakcję. Przestała być narzędziem kary, stała się celem samym w sobie. Monika czerpała garściami z firmowej codzienności. Potrafiła zgrabny zwrot użyty przez sekretarkę wykorzystać w rozmowie z klientem. Mądre słówko wtrącić w rozmowie z Łukaszem. Wielu klientów chciało rozmawiać tylko z nią. Była szybka, sprawna, rzetelna. Załatwiała sprawy na czas i doprowadzała je do szczęśliwego finału ku zadowoleniu klientów i Łukasza. Nie miała rodziny, towarzyskich zobowiązań ani ochoty na żadne inne zajęcia poza pracą. Nikt nie mógł jej dogonić, bo wszyscy chcieli pracować, aby żyć, a nie na odwrót.

Monika ani się spostrzegła, gdy minęła jesień, zima i wiosna. Zdążyła zrobić w mieszkaniu mały remont. Spotkała się z właścicielem, wymusiła na Robercie zapłatę za miesiąc z góry, a potem systematyczne opłacanie mieszkania co kwartał. Mąż zobowiązał się płacić jej za mieszkanie przez dziesięć lat, byle tylko dostać szybko rozwód. Teresa nalegała, żeby dzieciak urodził się po ślubie, bodaj cywilnym; nie chciała wnuka bękartą. Monika próbowała wyciągnąć od Roberta ustaloną kwotę jednorazowo, ale pokręcił głową.

– To moja polisa – odpowiedział bez emocji.

Nie zamierzała robić im żadnych kłopotów, wołała pozostawić daleko za sobą Roberta, Teresę, teścia. Przejżdżała czasem obok Willi na Żoliborskiej uliczce, kiedyś nawet zatrzymała się na widok gosposi, porozmawiały chwilę, ale do domu nie weszła. Nie chciała wracać, nie miała do czego.

Z perspektywą dziesięciu lat opłaconego wynajmu nie obawiała się dokonać kilku inwestycji. Odświeżyła klatkę schodową, chociaż nie korzystała z niej sama. Lokatorom z parteru jednak odrapane ściany nie przeszkadzały. Wymieniła rozpadające się okno balkonowe, pozostałe poddała gruntownej renowacji. Odnowiła parkiet, ściany pomalowała na ciepły, waniliowy kolor. Wstawiła kilka jasnych, skórzanych mebli – połączyła je z blaskiem szkła na witrynach i stole. W kuchni zostawiła stare meble, miały duszę, zmieniła tylko urządzenia elektryczne. Stal i szkło połączone ze skrzypiącymi drzwiczkami wiekowych szafek były intrygujące.

Lato było w pełni, w biurze głównym tematem stały się urlopy, smutek tych, którzy już wrócili i niecierpliwe oczekiwanie tych, którzy dopiero mieli wyjechać. Monice pracowało się znakomicie. Było mało ludzi, nikt jej nie przeszkadzał, nawet Łukasz. Coraz bardziej wykorzystywała Oktawię. Współpracowały blisko, coraz bliżej. Monika wymagała perfekcjonizmu na swoją miarę, a Oktawia była jak gąbka – chłoneła każde jej słowo. Katalogowała wiedzę – znacznie sprawniej, niż na studiach. Tam tylko zapisywała ją w grubych brulionach; tutaj układała każdą informację w oddzielnej przegródce; stworzyła sobie w głowie specjalną bibliotekę. Była w stanie nadążyć za przełożoną, bo nie miała żadnych zobowiązań poza pracą. Chciałaby wprowadzić

czasami wyjść z rówieśnikami, zobaczyć nowy film, napić się piwa – ale Monika osaczała ją, odganiała drożną myśl istnienia jakiegokolwiek życia poza firmą. W przypływie dobrego humoru mówiła czasami do Oktawii:

– Chcesz kimś być? Musisz pracować. Jesteś zdolna, jak długo chcesz przygotowywać ulotki i prezentacje? Zrobiłabyś coś konstruktywnego.

Jednak nic takiego dziewczynie nie proponowała. Wykorzystywała jej inteligencję i pracowitość, ale nie zamierzała powierzyć ani jednego klienta, ani jednej sprawy wymagającej pokazania się na zewnątrz. Monika w ogóle nie rozważała takiej opcji. To ona była gwiazdą, asystentka świtą. Nie zamierzała tego zmieniać.

Lato zmierzało ku jesieni. Monika wolała niskie słońce – mniej się pociła i mogła ukryć duże stopy w pełnych butach. W ostatnim tygodniu sierpnia sezon handlowy rozpoczął się zebraniem wszystkich pracowników. Łukasz prowadził spotkanie w swoim stylu, ze swadą roztaczając wizje najbliższych sukcesów. Jak zawsze Monika słyszała tylko słowa bez pokrycia. Strategia, perspektywy, taktyka – brzmiały pięknie.

*To tak, jak ustawa pozbawiona przepisów wykonawczych – myślała.*

Jednak nie wypowiedziała ani jednego słowa krytyki. Nie podważała publicznie zdania Łukasza już od dosyć dawna, tak się umówili na kolejnym drinku, po którym doszło do dalszego ciągu. Zaprosiła go do swojego odnowionego lokum; był pod wrażeniem. A pod jeszcze większym już dwie godziny później, gdy pachnący potem, seksem, pościelą, wychodził od Moniki i spieszył do żony. Jego kochanka

nie podzielała tego entuzjazmu. Łukasz był miąłki w łóżku, tak samo jak w biznesie, ale potrzebowała go. Miał jej pomagać w karierze; robił to szybciej i sprawniej, niż sam przypuszczał.

Dwa dni później znów przyjechali panowie z centrali. Tym razem niezapowiedziani. Zamknęli się z Łukaszem w jego gabinecie. Po godzinie wyszedł do sekretariatu i zażądał kategorycznie powrotu wszystkich handlowców do biura. Zwołał także spotkanie w sali konferencyjnej, smutni panowie z centrali siedzieli cały czas w jego gabinecie. Sekretarka patrzyła ze zdziwieniem, jak Łukasz osobiście korzysta z niszczarki. Zawsze jej zostawiał stertę dokumentów opisanych związłym „TO KILL”. Po kolejnej godzinie pojawiła się większość pracowników, tylko kilku nie było w stanie dojechać. Wszyscy zebrali się w sali konferencyjnej, plotkując po cichu. Wszedł Łukasz, za nim centralni, komunikat był krótki:

– Chciałem wam podziękować i osobiście się pożegnać, resztę wyjaśnią koledzy.

Zabrał swoją skórzaną teczkę z powycieranymi brzegami i wyszedł. Smutni panowie z centrali poinformowali zebranych o zmianach; Łukasz odszedł z firmy w trybie nagłym. Nie, nie ma powodu, po prostu będzie kontynuował karierę poza strukturami naszej korporacji – odpowiadali na pytania tak samo gładko, jak Łukasz wygłaszał swoje prezentacje.

*Co za ohydny zwrot* – pomyślała Monika. – *A jaki częsty. „Poza strukturami”. To prawie jak „na marginesie”.*

– Tak, to ważne pytanie – mówił dalej ten z centrali. – Jego stanowisko zajmuje Monika. Monique, congratulations – powiedział. Monika spuściła głowę. Wiedziała o tym od



godziny i jeszcze nie potrafiła do końca zrozumieć. Ona, taka wiocha, Dyrektorem Sprzedaży?

Na sali zapadła cisza. Nikt nie wiwatował, nie gratulował, nie cieszył się. Smutny Niemiec z centrali, który został oficjalnie prezesem firmy i bezpośrednim szefem Moniki, miał urodę aryjskiego chłopca ze snu o jednolitym genotypie, z oczami jak u rozmrożonego śledzia. Były lodowate jak Arktyka.

*Monique to ładne imię – pomyślała.*